

A dramatic illustration of a two-story red wooden house with a dark green roof, perched on the edge of a dark, rocky cliff. The house has a porch and a chimney. One window on the porch is brightly lit from within, casting a warm glow. The sky is a turbulent, dark blue and green, with heavy clouds and rain falling. Power lines and poles are visible in the background. The overall mood is ominous and suspenseful.

STEPHEN  
KING

JAKO RICHARD BACHMAN

OSTATNI BASTION  
BARTA DAWESA

ALBATROS

Tytuł oryginału:  
ROADWORK

Copyright © Richard Bachman 1981  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Maciejka Mazan 2008, 2015

Korekta: Magdalena Stec  
Projekt graficzny okładki: Sławomir Rybka

*Wydawca*

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.  
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa  
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



ALBATROS

Ale Wietnam się skończył, a życie w kraju toczyło się dalej.

Tego upalnego sierpniowego popołudnia 1972 roku na końcu autostrady 784 stanęła furgonetka stacji telewizyjnej WHLM. Niewielki tłumek zbił się wokół małego, naprędce skleconego podium; pokrywający go materiał był jak cienka skóra na szkielecie nagich desek. Za nim, na szczycie porośniętego trawą nasypu, stały budki przy wjeździe na płatną autostradę. Dalej, aż do peryferii miasta, rozciągał się pusty bagnisty teren.

Młody dziennikarz Dave Albert robił sondę uliczną, skracając sobie i kolegom czas oczekiwania na burmistrza i gubernatora, mających wkrótce przybyć na uroczystość.

Podsunał mikrofon starszemu panu w okularach z przyciemnianymi szklami.

– Więc... – zaczął mężczyzna, zerkając lękliwie w obiektyw – ...to się przyda miastu. Już dawno należało to zrobić. To... się bardzo przyda. – Przełknął ślinę, zdając sobie sprawę, że jego umysł nadaje echo samego siebie, lecz nie mogąc się zatrzymać, zahipnotyzowany przeszywającym spojrzeniem cyklopowego oka potomności. – Bardzo – dodał słabo.

– Dziękujemy.

– Pokażecie mnie? W wiadomościach?

Albert przywołał na twarz profesjonalny uśmiech, który nie znaczył.

– Trudno powiedzieć. Niewykluczone.

Dźwiękowiec wskazał na zakręt przy wjeździe na autostradę, zza którego właśnie wyłonił się chrysler gubernatora, lśniący i migotliwy jak chromowany pocisk w blasku letniego słońca. Albert skinął głową i uniósł palec. Wraz z dźwiękowcem podszedł do człowieka w białej koszuli z podwiniętymi rękawami. Facet chmurnie przyglądał się podium.

– Czy zechciałby pan wyrazić swoją opinię, panie...

– Dawes. Zechciałbym. – Miał niski, przyjemny głos.

– Gazu – mruknął kamerzysta.

Mężczyzna w białej koszuli dodał równie przyjemnie:

– Według mnie to zwyczajne gównno.

Operator skrzywił się, a Albert pokiwiał głową potępijąco. Dwoma palcami prawej ręki zrobił gest cięcia. Starszy pan przyglądał się tej scenie z autentyczną zgrozą. Ponad nimi, przy budkach opłat, gubernator wyłonił się z chryslera. Jego zielony krawat załśnił w słońcu.

Mężczyzna w białej koszuli spytał uprzejmie:

– Puścicie to w dzienniku o szóstej czy o jedenastej?

– Ho, ho, bracie, aleś zgrywny – mruknął kwaśno Albert i ruszył, by złapać gubernatora. Kamerzysta podążył za nim. Mężczyzna w białej koszuli patrzył na gubernatora ostrożnie scho-dzącego po trawiastym zboczu.

Siedemnaście miesięcy później Albert i mężczyzna w białej koszuli spotkali się ponownie, ale ponieważ żaden z nich nie pamiętał, że już się znają, równie dobrze mogło to być ich pierwsze spotkanie.

**20 listopada 1973**

Robił to, co robił, i nie pozwalał sobie na myślenie. Tak było bezpieczniej. Zupełnie jakby miał w głowie wyłącznik, pstrykający za każdym razem, gdy pojawiało się pytanie: ale po co to robisz? Wtedy w jakimś zakątku jego mózgu gasło światło. Hej, George, kto zgasił światło? Ups, chyba ja. Coś się przepaliło. Zaraz, chwileczkę. Popstrykać wyłącznikiem... Jest. Ale myśl się ulotniła. Wszystko gra. No to do rzeczy, Freddy – gdzie to byliśmy?

\* \* \*

W drodze na przystanek autobusowy zobaczył ogłoszenie:

AMUNICJA SKLEP HARVEYA AMUNICJA  
Remington Winchester Colt Smith & Wesson  
ZAPRASZAMY MYŚLIWYCH

Z szarego nieba prószył drobny śnieg, pierwszy tego roku; płatki lądowały na chodniku jak białe placki sody oczyszczonej

i zaraz się topiły. Zobaczył małego chłopca w czerwonej włóczkowej czapce, który szedł z otwartymi ustami i wysuniętym językiem, żeby złapać płatek śniegu. To wszystko zaraz stopnieje, Freddy, pomyślał, ale dzieciak i tak szedł z głową zadartą w górę.

Zatrzymał się przed sklepem Harveya. Przed drzwiami na chodniku sterczał stojak z wydaniem popołudniówek. Nagłówek głosił:

CHWILOWE ZAWIESZENIE BRONI  
NADAL OBOWIĄZUJE

Poniżej na stojaku widniał rozmazany biały napis:

PROSZĘ ZAPŁACIĆ ZA GAZETĘ!  
WŁAŚCICIEL DOSTAJE JE ODPŁATNIE

W środku panowało przyjemne ciepło. Sklep był długi, ale niezbyt szeroki. Tylko dwa rzędy półek. Po lewej stronie stała szklana gablotka z pudełkami amunicji. Natychmiast rozpoznał naboje kalibru .22, ponieważ w dzieciństwie, jeszcze w Connecticut, miał jednostrzałową strzelbę, właśnie dwudziestkędwójkę. Marzył o niej przez trzy lata, a kiedy ją dostał, nie potrafił znaleźć dla niej zastosowania. Przez jakiś czas strzelał do puszek, potem zabił sójkę. Nie miała łatwej śmierci. Siedziała w śniegu, w samym środku plamy różowawej czerwieni, powoli otwierając i zamykając dziób. Po tej sójce powiesił strzelbę na haku i zostawił ją tam na trzy lata, aż wreszcie sprzedał ją chłopakowi z tej samej ulicy za dziewięć dolarów i pudełko książeczek z dowcipami.

Inne naboje nie kojarzyły mu się z niczym. Trzydzieści trzy, trzydzieści sześć i takie, które wyglądały jak pociski do haubicy.

Na co to, zdziwił się. Na tygrysy? Dinozaury? Zafascynowały go, zamknięte w szklanej gablocie jak landrynki z automatu.

Sprzedawca lub właściciel rozmawiał z grubym gościem w zielonych spodniach i zielonej wojskowej koszuli. Koszula miała kieszenie z patkami. Rozmawiali o rozłożonym na części pistolecie, leżącym w innej szklanej gablocie. Gruby odciągnął kciukiem zamek i razem zajrzeli do naoliwionej komory. Gruby powiedział coś, na co sprzedawca lub właściciel się roześmiał.

– Automatyczne zawsze się zacinają? Mac, ojciec ci to wmówił, przyznaj się.

– Harry, bracie, łesz jak pies.

Łesz, Fred, pomyślał. Jak pies. Wiesz o tym?

Fred powiedział, że wie.

Szklana gablotka po prawej stronie biegła przez cały sklep. Wisiało w niej mnóstwo strzelb. Potrafił rozpoznać dubeltówki, ale reszta była dla niego czarną magią. A jednak niektórzy – na przykład ci przy ladzie – opanowali ten temat tak, jak on opanował księgowość na studiach.

Zrobił parę kroków w głąb sklepu i zajrzał do gablotki z pistoletami. Zobaczył kilka pneumatycznych, kilka dwudziestek-dwójek, trzydziestkęósemkę z drewnianą kolbą, czterdziestkę-piątkę i broń, w której rozpoznał magnum .44, takie samo jak to, które w filmie miał Brudny Harry. Słyszał, jak Ron Stone i Vinnie Mason rozmawiali w pralni o tym filmie i Vinnie powiedział: nikt by nie pozwolił gliniarzowi nosić takiego gnata w mieście. Czymś takim można zrobić dziurę w człowieku z odległości kilometra.

Gruby facet, Mac, i sprzedawca lub właściciel, Harry (jak Brudny Harry), złożyli broń.

– Przedzwoń do mnie, jak dostaniesz tego menschlera – poprosił Mac.

– Dobrze... Ale to uprzedzenie do automatów jest irracjonalne – odparł Harry. (To musiał być właściciel sklepu – zwykły sprzedawca nigdy by nie powiedział klientowi, że zachowuje się irracjonalnie). – Musisz mieć tę cibrę na przyszły tydzień?

– Chciałbym.

– Niczego nie obiecuję.

– Jak zwykle... ale jesteś najlepszym, kurna, rusznikarzem w mieście i dobrze o tym wiesz.

– No pewnie.

Mac poklepał broń w szklanej gablocie i odwrócił się. Idąc do drzwi, potrącił go – *Uważaj, Mac. Lepiej się do mnie uśmiechnij*. Pod pachą trzymał gazetę, można było przeczytać:

## OWE ZAWIE

Harry odwrócił się do niego z uśmiechem, kręcąc głową.

– Czy mogę pomóc?

– Mam nadzieję. Ale ostrzegam, zupełnie nie znam się na broni.

Harry wzruszył ramionami.

– A kto powiedział, że ma się pan znać? Pan czy ktokolwiek? Chodzi o prezent na Gwiazdkę?

– Tak, właśnie – podchwycił, zadowolony z okazji. – Mam kuzyna, Nicka, tak się nazywa. Nick Adams. Mieszka w Michigan i ma hopla na punkcie broni. Wie pan, uwielbia polować, ale nie chodzi tylko o polowanie, to coś więcej. To jakby... jakby...

– Hobby? – podesunął Harry z uśmiechem.



– Tak, właśnie. – Chciał powiedzieć „fetysz”. Zerknął na kasę, na której widniała staruteńka naklejka:

JEŚLI BRONŃ JEST PRZESTĘPSTWEM,  
TYLKO PRZESTĘPCY BĘDĄ NOSIĆ BRONŃ.

Uśmiechnął się do Harry’ego.

– Święte słowa.

– No pewnie. A ten pański kuzyn...

– A mój kuzyn lubi to, co najlepsze. Wie, że uwielbiam łódki, i niech mnie diabli, w zeszłym roku na Gwiazdkę dał mi silnik Evinrude, sześćdziesiąt koni! Wysłał go ekspresem. A ja mu podarowałem kurtkę myśliwską. Czułem się jak debil.

Harry pokiwał głową ze współczuciem.

– Jakiś miesiąc temu dostałem od niego list. Chłopak był szczęśliwy jak dziecko, co dostało za darmo bilet do cyrku. Razem z sześcioma kumplami zrobili zrzutkę i wybrali się gdzieś do Meksyku, tam, gdzie wolno strzelać...

– Do rezerwatu łowieckiego?

– Aha, chyba. – Zachichotał cicho. – Można strzelać, ile wlezie. Mają tam zwierzyny do diabła i trochę. Jelenie, antylopy, niedźwiedzie, bizony... Wszystko.

– Czy to czasem nie Boca Rio?

– Nie pamiętam. Chyba miało jakąś dłuższą nazwę.

Oczy Harry’ego zasnuły się mgielką rozmarzenia.

– W sześćdziesiątym piątym razem z tym gościem, co właśnie wyszedł, pojechaliliśmy do Boca Rio. Trafiłem zebreg! Zebreg, słowo daję! Powiesiłem jej łeb w domu w salonie. To była najpiękniejsza chwila mojego życia. Bardzo zazdroszczę pańskiemu

kuzynowi.

– Pogadałem z żoną i powiedziała, że mogę to zrobić. Mieliśmy naprawdę dobry rok. Pracuję w pralni Blue Ribbon w Western.

– Tak, wiem, gdzie to jest.

Mógłby gadać z Harrym przez cały dzień, do końca roku, splatając prawdę i kłamstwo w jedną piękną tkaninę. Niech życie toczy się obok. Chromolić kryzys paliwowy, wysokie ceny wołowy i chwilowe zawieszenie broni, będą rozmawiać o kuzynie, który nie istnieje i nigdy nie istniał. Nie, Fred? No jak nie, jak tak, Georgie.

– W tym roku podpisaliśmy umowę ze szpitalem ogólnym i z psychiatrykiem. A! I z tymi trzema nowymi motelami.

– Ten na Franklin Avenue też obsługujecie?

– Tak.

– Nocowałem tam parę razy. Pościel zawsze była bardzo czysta. Śmieszne, nigdy się nie zastanawiamy, kto pierze pościel w hotelach.

– No, czyli mieliśmy dobry rok. Więc pomyślałem, może kupię Nickowi strzelbę i pistolet. Zawsze marzył o magnum .44. Słyszałem, jak o tym mówił...

Harry wyjął magnum i położył je ostrożnie na szklanej gablocie. Wziął je do ręki. Było przyjemnie ciężkie. Solidne.

Odłożył je na gablotę.

– Komora... – zaczął Harry.

Roześmiał się i uniósł rękę.

– Nie musi mnie pan namawiać, sam się namówiłem. Ignoranta nie trzeba przekonywać. Ile amunicji mam do tego kupić?

Harry wzruszył ramionami.

– Dziesięć pudełek. Zawsze może sobie dokupić. Ta sztuka kosztuje dwieście osiemdziesiąt dziewięć plus VAT, ale sprzedam panu za dwieście osiemdziesiąt i dorzucę naboje za darmo. Co pan na to?

– Super – powiedział ucieszony z całego serca. A potem dodał, ponieważ wydawało mu się, że tak trzeba: – Piękna sztuka.

– Jeśli się jedzie do Boca Rio, coś takiego bardzo się przyda.

– A teraz strzelba...

– Co ma ten pański kuzyn?

Wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

– Przykro mi, naprawdę nie wiem. Dwa, trzy pistolety i coś, co jest podobno samopowtarzalne...

– Remington? – Pytanie padło tak szybko, że aż się przestraszył; tak jakby brodził w wodzie po pas i nagle grunt osunął mu się spod nóg.

– Możliwe. Mogę się mylić.

– Remington robi najlepsze – powiedział Harry i pokiwał głową, zsyłając na niego tym samym błogi spokój. – Ile chce pan wydać?

– Będę szczerzy. Ten silnik kosztował go ze cztery setki. Ja chcę wydać co najmniej pięć. Ewentualnie sześć.

– Lubicie się, co?

– Razem dorastaliśmy – wyznał szczerze. – Oddałbym mu chyba prawą rękę, gdyby jej potrzebował.

– Coś panu pokażę. – Harry wybrał z pęku kluczy na kółku jeden i podszedł do oszklonej gabloty. Otworzył ją, wspiął się na stół i zdjął długą, ciężką strzelbę z inkrustowaną kolbą. – Kosztuje trochę więcej, niż chce pan dać, ale to rarytas. – Podał mu ją.

– Co to takiego?

– Weatherbee czterysta sześćdziesiąt. Strzela amunicją większego kalibru niż wszystko, co tu mam. Gdyby pan chciał zamówić naboje, musiałbym je sprowadzić z Chicogo. To potrwa z tydzień. Jest idealnie wyważona. Ten drobiazg wali z impetem ponad czterystu kilo... to jakby kogoś uderzyć limuzyną. Jeśli strzeli pan z tego jeleniowi w głowę, nie zostanie z niego nawet ogonek na pamiątkę.

– No, nie wiem... – powiedział z powątpiewaniem, choć już postanowił, że ją weźmie. – Nick chciałby mieć trofeum. To także zabawa...

– No pewnie – przyświadczył Harry, ujmując weatherbee. – Nie jedzie się do Boca Rio po mięso. Więc pański kuzyn poluje? Z tym maleństwem nie będzie się godzinami włóczyć za cholerynym bydlęciem po wertepach i bezdrożach. Jeden strzał i flaki rozbryzną się w promieniu pół kilometra.

– Ile za to?

– No, powiem w ten sposób: nie mogę tego upłynnić w mieście. Kto chce mieć takie, cholera, działa przeciwlotnicze tu, gdzie od czasu do czasu trafia się najwyżej bażant? A gdyby się go podało do stołu, smakowałby jak wędzony w spalinach. W sprzedaży detalicznej kosztuje to dziewięćset pięćdziesiąt, w hurcie sześćset trzydzieści. Ja podaruję je panu za siedemset.

– Czyli razem... prawie tysiąc?

– Za zakup powyżej trzystu dolarów dajemy dziesięć procent zniżki. Czyli dziewięćset. – Wzruszył ramionami. – Daj pan tę broń kuzynowi, gwarantuję, że takiej nie ma. Jeśli ma, odkupię od pana za siedemset pięćdziesiąt. Dam to panu na piśmie, taki jestem pewien swego.

– Poważnie?

– Absolutnie. Absolutnie. Oczywiście, jeśli za drogo, no to za drogo. Możemy spojrzeć na coś innego. Ale jeśli kuzyn ma prawdziwego hopla, nie mam tu niczego, czego pewnie już sobie nie kupił.

– Rozumiem. – Zrobił zamyśloną minę. – Ma pan telefon?

– Jasne, na zapleczu. Chce się pan poradzić żony?

– Tak będzie lepiej.

– Jasne. Proszę za mną.

Harry zaprowadził go na zagracone zaplecze. Ławka i porysowany drewniany stół były zavalone wnętrzościami pistoletów, sprężynami, płynem do czyszczenia, ulotkami i buteleczkami z kawałkami ołowiu.

– Telefon jest tam – pokazał Harry.

Usiadł, wziął aparat i wykręcił numer. Harry wrócił po magnum, które włożył do pudełka.

– Dziękujemy za wybranie usług informacji meteorologicznej WDST – rozległ się w słuchawce radosny, mechaniczny głos.

– Popołudniowe zadymki przejdą wieczorem w lekkie opady śniegu...

– Mary? Cześć – powiedział. – Słuchaj, no więc jestem w tym sklepie. Tak, dla Nicka. Mam ten pistolet, wiesz, bez problemu. Był akurat taki, jak rozmawialiśmy. Potem ten pan pokazał mi strzelbę...

– ...przewidywane roz pogodzenie. Temperatura spadnie dziś do minus piętnastu, jutro od minus piętnastu do minus dwudziestu stopni. Możliwe opady...

– Więc co sądzisz? – Harry stał w drzwiach za jego plecami, widać było jego cień.

– Aha – powiedział. – Wiem.

– Dziękujemy za wybranie usług informacji meteorologicznej WDST. Zapraszamy do oglądania wiadomości z Bobem Reynoldsem; codziennie o szóstej po południu aktualna prognoza pogody. Do widzenia.

– Nie, nie żartujesz. Tak, to bardzo drogo.

– Dziękujemy za wybranie usług informacji meteorologicznej WDST. Popołudniowe zadymki przejdą wieczorem...

– Ale na pewno, skarbie?

– ...przewidywane roz pogodzenie. Temperatura...

– No, to dobrze. – Odwrócił się, uśmiechnął do Harry'ego i zrobił kółeczko z palca wskazującego i kciuka. – To bardzo miły gość. Dał mi gwarancję, że Nick nie ma takiej.

– Możliwe opady...

– A ja ciebie, Mare. Pa. – Odłożył słuchawkę. Jezu, Freddy, to było niezłe. No masz, George, no masz.

Wstał.

– Powiedziała, że mam wolną rękę. No więc: tak.

Harry uśmiechnął się.

– Co pan zrobi, jak kuzyn przyśle panu thunderbirda?

Odpowiedział uśmiechem.

– Odeślę nierozpakowanego.

W drodze do kasy Harry spytał:

– Czek czy gotówka?

– American Express, jeśli można.

– Można, można.

Podał mu kartę. Na jej odwrocie, na specjalnym pasku, widniał podpis:

BARTON GEORGE DAWES

– A te naboje na pewno przyjdą na czas, żebym mógł wszystko wysłać Fredowi?

Harry podniósł głowę znad rachunku.

– Fredowi?

Uśmiechnął się szerzej.

– Nick to Fred, a Fred to Nick. Nicholas Frederic Adams. To taki żart z tym imieniem. Jeszcze z dzieciństwa.

– O. – Harry uśmiechnął się grzecznie, jak ktoś, kto usłyszał kiepski dowcip. – Pan tu podpisze.

Podpisał.

Harry wyjął spod lady ciężką księgę ze stalowym łańcuchem przeciągniętym przez górny lewy róg, blisko grzbietu.

– Poproszę o nazwisko i adres dla policji.

Poczuł, że palce zaciskają się mu na długopisie.

– Jasne. Tylko patrzcie, pierwszy raz w życiu kupuję broń i już jestem wariatem. – Zapisał w księdze nazwisko i adres.

*Barton George Dawes 1241 Crestallen Street West*

– Czepiają się wszystkiego – powiedział.

– Nie z własnej woli.

– Tak. Wie pan, co powiedzieli wczoraj w dzienniku? Chcą wprowadzić obowiązek noszenia ochraniacza na usta dla motocyklistów. Ochraniacz na usta! To rząd już nie ma innych zmartwień, tylko zęby gości na motocyklach?

– Dziwne, dziwne – zgodził się Harry, chowając księgę pod ladę.

– Albo ten nowy kawałek autostrady, który budują w Western. Przychodzi jakiś smarkacz, mówi: „Puścimy ją tędy”, a potem człowiek dostaje pismo: „Bardzo przepraszamy, ale tu, gdzie mieszkacie, będzie biegła autostrada 784. Macie rok na znalezienie nowego domu”.

– Skandal.

– Właśnie. Co znaczy prawo do wywłaszczenia, jeśli człowiek mieszkał w tym cholernym domu od dwudziestu lat? Kochał się w nim z żoną, wychowywał w nim dzieci, wracał do niego z wycieczek? Prawnicy to wymyślili specjalnie po to, żeby nas mogli lepiej załatwić.

Uważaj, uważaj. Wyłącznik zadziałał z opóźnieniem, trochę mu się wysnęło.

– Wszystko w porządku? – spytał Harry.

– Aha. Zjadłem na obiad zapiekankę. Chyba zgłupiałem. Przecież zawsze mam po nich cholerne gazy.

– Pan się poczęstuje – powiedział Harry i wyjął z kieszeni na piersiach rolkę pastylek. Na etykiecie widniało:

## GASTRYNKI

– Dziękuję. – Wyjął jedną z wierzchu i włożył do ust, nie zwracając uwagi na strzępek papieru, który się do niej przylepił. Patrzenie, jestem w reklamie. Ta znakomita pastylka pochłania kwas żołądkowy o czterdziestosiedmiokrotnie większej objętości w stosunku do swojej wagi.

– Mnie to pomaga – dodał Harry.

– A te naboje...

– Tak. Za tydzień. Najdłużej dwa. Sprowadzę siedemdzie-



siąt.

– Może pan przechować tę broń? Niech ją pan oznaczy moim nazwiskiem albo jakoś inaczej. Może to głupie, ale nie chcę tego trzymać w domu. Głupio, nie?

– Każdy lubi co innego – zauważył Harry roztropnie.

– Aha. Podam panu numer do mojej pracy. Kiedy dostanie pan te kule...

– Pociski – przerwał Harry. – Pociski lub naboje.

– Pociski – zgodził się z uśmiechem. – Jak je pan dostanie, niech pan do mnie przedzwoni. Odbiorę broń i zajmę się wysyłką. Czy broń można wysłać pocztą kurierską?

– Jasne. Pański kuzyn będzie tylko musiał pokwitować, i tyle.

Napisał swoje nazwisko na wizytówce Harry’ego. Widniało na niej:

Harold Swinnerton

849-6330

SKLEP HARVEYA

Amunicja

Broń zabytkowa

– Ciekawe... – odezwał się. – Skoro pan nazywa się Harold, to kim jest Harvey?

– Był moim bratem. Zmarł osiem lat temu.

– To smutne.

– Tak, było nam smutno. Pewnego dnia przyszedł tutaj, otworzył sklep, zrobił kasę i padł trupem. Zawał serca. Wspomniały człowiek, każdy chciałby go znać. Potrafił powalić jelenia z dwustu metrów.

Wyciągnął rękę nad ladą. Wymienili uścisk.

– Zadzwońię – obiecał Harry.

– Powodzenia.

Znów wyszedł na śnieg. Padało gęściej, a jego rękawiczki leżały w domu.

Co tam robiłeś, George?

Ciach, obwód przerwany.

Zanim dotarł do przystanku, wszystko przypominało historię, o której gdzieś przeczytał. Nic więcej.

\* \* \*

Crestallen Street West jest długą, skręcającą w dół ulicą z której rozciągał się piękny widok na park i przepiękny na rzekę, dopóki wraz z postępem nie pojawiły się tu wieżowce. Stało się to przed dwoma laty. Zupełnie zasłoniły widok.

Numer 1241 to domek z garażem na jeden samochód. Ma podłużny trawnik, teraz nagi i czekający na śnieg – taki porządny – który go przykryje. Podjazd jest asfaltowy, odnowiony poprzedniej wiosny.

Wszedł do domu i usłyszał dźwięki dobiegające z telewizora, nowego modelu Zenith – kupił go w lecie. Na dachu znajdowała się sterowana antena – sam ją tam ustawił. Mary była przeciwna ze względu na to, co ich czekało, ale on nalegał. Skoro można ją zamontować, dowodził, można też rozmontować przy wyprawdzie. Bart, nie bądź śmieszny. To tylko nadprogramowy wydatek... i nadprogramowa praca. Ale on ją przetrzymał i wreszcie powiedziała, że mu „ustąpi”. Tak mawiała w tych rzadkich wypadkach, kiedy zależało mu na czymś tak bardzo, że potrafił się przebić przez lepką maź jej argumentów. No dobrze, Bart. Tym razem ci „ustąpię”.

Właśnie oglądała Merva Griffina gawędzącego z gwiazdami. Tym razem gwiazdą był Lorne Greene, mówiący o swoim nowym serialu policyjnym *Griff*. Lorne mówił Mervowi, jak doskonale się bawił przy realizacji filmu. Wkrótce pojawi się czarna wokalistka (kolorowa koloratura, pomyślał), o której nikt nigdy nie słyszał. Zaśpiewa jakąś piosenkę, na przykład *I Left My Heart in San Francisco*.

– Cześć, Mary! – zawołał.

– Cześć, Bart.

Korespondencja na stoliku. Przerzucił koperty. List do Mary od jej z lekka świrującej siostry z Baltimore. Zestawienie wypłat z karty – trzydzieści osiem dolarów. Wyciąg z konta – wypłata 49, wpłata 9, ogółem 954,47. Dobrze, że w sklepie z bronią zapłacił American Express.

– Zrobiłam kawy! – zawołała Mary. – A może chcesz drinka?

– Drinka. Zrobię sobie.

Trzy inne zawiadomienia: ponaglenie z biblioteki, chodzi o *Facing the Lions* Toma Wickera. Wicker przemawiał miesiąc temu u rotarian i było to najlepsze przemówienie, jakie tam słyszano od lat.

Wiadomość od Stephana Ordnera, wielkiej ryby z Amroco, korporacji, która niemal natychmiast pochłonęła Blue Ribbon. Ordner wzywał go na rozmowę w sprawie umowy z Waterford – czy piątek ci odpowiada? A może wyjeżdżasz na Święto Dziękczynienia? Jeśli tak, zadzwoń. Jeśli nie, przyprowadź Mary. Carla zawsze chętnie się z nią spotyka i tra ta ta, i ple-ple.

Kolejny list z departamentu do spraw autostrad.

Stał i przyglądał się mu długo w szarym popołudniowym świetle wpadającym przez okno. Odłożył go na stolik. Zrobił

sobie szkocką z lodem i poszedł z nią do salonu.

Merv ciągle gadał z Lorne'em. Kolory nowego zenitha były świetne, niemal niezemskie. Jeśli nasze rakiety międzykontynentalne są tak samo dobre jak kolorowe telewizory, pomyślał, pewnego dnia czeka nas wielkie bum. Włosy Lorne'a były srebrne, najbardziej nieprawdopodobny odcień ze wszystkich możliwych odcieni srebra. Chłopcze, bo cię oskalpuję, pomyślał i zachichotał. Było to ulubione powiedzonko jego matki. Właściwie nie rozumiał, dlaczego wizja łysiego Lorne'a Greene'a była taka zabawna. Może to spóźniony łagodny atak histerii po epizodzie w sklepie z bronią.

Uśmiechnięta Mary podniosła na niego oczy.

– Coś śmiesznego?

– Nie – odparł. – Tylko coś sobie pomyślałem.

Usiadł obok niej, musnął wargami jej policzek. Była wysooka, skończyła już trzydzieści osiem lat i znajdowała się na tym etapie, gdy uroda młodości zaczyna się decydować, jak będzie wyglądać w starszym wieku. Miała bardzo piękną skórę, piersi małe i niezbyt obwisłe. Strasznie dużo jadła, ale wściekły metabolizm nie pozwalał jej przytyć. Jeszcze przez dziesięć lat paradowanie w kostiumie kąpielowym na publicznej plaży nie będzie budzić w niej drżenia, bez względu na to, w jaki sposób bogowie postanowią pokierować jej losem. Patrząc na nią, uświadomił sobie, że sam ma niewielki brzuszek. Co tam, Freddy, każdy dyrektor ma brzuszek. To symbol sukcesu, jak delta 88. Zgadza się, George. Dbaj o siebie, nie daj sobie zrobić krzywdy, a dożyjesz osiemdziesiątki.

– Jak ci dziś poszło? – spytała.

– Dobrze.

– Pojechałeś do tej nowej siedziby w Waterford?

– Nie.

Nie był w Waterford od końca października. Ordner wiedział – pewnie mu ktoś o tym szepnął – i stąd to wezwanie. Nowa siedziba miała się mieścić w opuszczonej fabryce tekstyliów, a ten cwaniutki agent od nieruchomości ciągle do niego dzwonił. Musimy zakończyć tę sprawę, powtarzał. Nie jesteście jedyni w kolejce. Przyjadę najszybciej, jak zdołam, odpowiedział cwaniutkiemu agentowi. Cierpliwości.

– A co z tym domem w Crescent? – spytała. – Tym ceglanym.

– Nie dla nas. Chcą czterdzieści osiem tysięcy.

– Za coś takiego? – upewniła się z urazą. – Rozbój w biały dzień!

– No pewnie. – Pociągnął duży łyk. – Co tam u starej Bei z Baltimore?

– To, co zwykle. Teraz chodzi na hydroterapeutyczną grupę rozwoju świadomości. Ale numer, co? Bart...

– Aha – rzucił szybko.

– Bart, musimy się tym zająć. Dwudziesty stycznia coraz bliżej. Znajdziemy się na ulicy.

– Zrobisz to najszybciej, jak zdołam. Cierpliwości.

– A ten mały na Union Street...

– Sprzedany – dokończył i osuszył szklanekę.

– Właśnie o tym mówię – powiedziała z desperacją. – Dla nas dwojga byłby idealny. Za to, co miasto daje nam za dom i działkę, wyszlibyśmy na swoje.

– Nie podobał mi się.

– Ostatnio niewiele ci się podoba – zauważyła z zaskakującą goryczą. – Nie podobał mu się – poinformowała telewizor.

Ciemnoskóra śpiewaczka była już w połowie piosenki.

– Mary, robię, co mogę.

Odwróciła się i spojrzała na niego poważnie.

– Wiem, co czujesz do tego domu...

– Nie – powiedział. – Nie wiesz.

## 21 listopada 1973

Przez noc świat otulił się cienką kołderką śniegu, a kiedy drzwi autobusu rozsunęły się z sykiem i Dawes wysiadł, na chodniku zobaczył ślady osób, które szły tędy przed nim. Skierował się w stronę zakrętu Fir Street; autobus ruszył za nim z tygrysim warkotem. Potem minął go Johnny Walker, który jechał po drugi poranny odbiór. Johnny pomachał mu z szoferki biało-niebieskiej furgonetki pralni; on odpowiedział podobnym pozdrowieniem. Było parę minut po ósmej.

Pralnia zaczynała dzień o siódmej, gdy brygadzysta Ron Stone i Dave Radner, pracujący w hali pralniczej, przychodzili i włączali bojler. Dziewczyny od koszul meldowały się o siódmej trzydzieści, dziewczyny od prasowania przychodziły o ósmej. Nie znosił tych pralniczych podziemi, tej ciężkiej roboty i wyzysku, ale z jakiegoś perwersyjnego powodu pracujący tam ludzie lubili go. Mówili mu po imieniu. A on lubił ich, z wyjątkiem paru osób.

Przeszedł przez rampę wyładunkową i zapuścił się między kosze z pościelą z zeszłego wieczoru, jeszcze niewyprasowaną. Każdy kosz był przykryty szczelnie folią, żeby się nie kurzyło. Trochę dalej Ron Stone zacieśniał pas napędowy w starym mil-

norze, a Dave i jego pomocnik, wyrzucony z college'u Steve Pollack, ładowali motelową pościel do wielkich przemysłowych pralek.

– Bart! – ryknął na powitanie Ron Stone. Zawsze ryczał; po trzydziestu latach rozmawiania z ludźmi w szumie suszarek, prasowalnic, magli i pralek jego głos wyzbył się cichszych tonów. – Ten sukinsyn milnor ciągle nawala. Program wybielania tak się rozstroił, że Dave musi go obsługiwać ręcznie. I wirowanie się zacina.

– Klient kazał nam pracować w innym proszku niż zawsze – odparł uspokajająco. – Za dwa miesiące...

– W tym waterfordzie?

– Aha – przyznał trochę niepewnie.

– Za dwa miesiące będziecie mnie mogli zamknąć w wariatkowie – zapowiedział Stone ponuro. – A te przenosiny... będzie gorzej niż na paradzie polskiego wojska.

– Będziecie mieli zlecenia, odkujemy się.

– Odkujemy się! Przez trzy miesiące się nie pozbieramy. A potem nadejdzie lato.

Skinął głową, nie chciał się w to zagłębiać.

– Co wysyłacie najpierw?

– Holiday Inn.

– Do każdej partii dodajcie pięćdziesiąt kilo ręczników. Wiesz, jak się zwykle pieklą o ręczniki.

– Aha. Pieklą się o wszystko.

– Ile dostałeś?

– Wpisali trzysta kilo. Większość po tych masonach. Zostali do poniedziałku. W życiu nie widziałem takich obleśnych prześcieradeł. Same stoją.

Skinął głową w stronę nowego chłopaka, Pollacka.

– Jak się sprawdza? – W Blue Ribbon rotacja pomocników była duża. Dave dawał im w kość, a wrzaski Rona najpierw ich przerażały, a potem wkurzały.

– Na razie w porządku. Pamiętasz tego ostatniego?

Pamiętał. Mały wytrzymał trzy godziny.

– Pamiętam. Jak mu było?

Ron Stone zmarszczył groźnie brwi.

– Nie pamiętam. Baker? Barker? Tak jakoś. W zeszyły piątek spotkałem go w sklepie. Rozdawał ulotki o bojkocie sałaty czy czegoś tam. Niezłe, co? Gość nie potrafi utrzymać roboty, więc zaczyna rozpowiadać wszystkim, jakie to okrutne, że Ameryka nie jest taka jak Rosja. Serce mi się łamie.

– Potem dasz Howarda Johnsona?

Stone spojrział na niego z wyrzutem.

– Zawsze puszczam go najpierw.

– Do dziewiętej?

– Żebyś wiedział.

Dave pomachał mu ręką, a on odmachnął. Poszedł na górę, przez pralnię chemiczną i księgowość do swojego gabinetu. Usiadł za biurkiem na obrotowym krześle i wyjął z pudełka rzeczy do przeczytania. Na biurku miał plakietkę z napisem:

MYŚL!

*To może być nowe doświadczenie*

Nie przepadał za nią, ale trzymał ją, ponieważ dostał ją od Mary... kiedy to było? Przed pięcioma laty? Westchnął. Akwizytorzy, którzy go odwiedzali, śmiali się jak cholera z tego na-



pisu, ale akwizytorzy śmieliby się jak cholera, nawet gdyby im pokazać zdjęcie głodujących dzieci albo Hitlera kopulującego z Matką Boską.

Vinnie Mason – tajemniczy głos, szepczący w ucho Steve’a Ordnera – miał na swoim biurku napis:

## MYŚ

No i co ma znaczyć to MYŚ? Nawet akwizytor by się nie uśmiechnął, co, Fred? No masz, George, właśnie. Za oknem rozległ się głuchy warkot diesla; odwrócił się z krzesłem, żeby wyjrzeć. Ci od autostrady szykowali się do rozpoczęcia nowego dnia. Koło pralni przejeżdżała platforma z dwoma buldożerami, a za nią sznur niecierpliwie warczących samochodów.

Z drugiego piętra nad pralnią chemiczną miał dobry widok na postępy budowy. Przecinała dzielnicę biurową i mieszkalaną jak długa brązowa szrama, zabłocona blizna pooperacyjna. Sięgnęła już Guilder Street i przeorała park na Hebner Avenue, gdzie kiedyś, dawno temu, zabierał Charliego... Charlie był wtedy niemowlęciem. Jak się nazywał ten park? Nie pamiętał. Po prostu park na Hebner Avenue, Fred. Było tam też boisko baseballowe i kaczy staw z małym domkiem na środku. W lecie dach tego domku był zawsze oblepiony ptasimi gówienkami. Stały tam też huśtawki. Charlie miał pierwsze huśtawkowe doświadczenie właśnie w parku na Hebner Avenue. Co o tym sądzisz, Freddy, staruszkule? Najpierw się przeraził i rozryczał, potem mu się spodobało, a kiedy trzeba było wracać do domu, rozryczał się, bo go zdjąłem. Zsikał się w majtki i na siedzenie samochodu, kiedy go wiozłem do domu. Czy to naprawdę już czternaście lat

temu?

Minęła go kolejna platforma z wywrotką.

Dzielnicę Garson wyburzono jakieś cztery miesiące temu; znajdowała się parę przecznic na zachód od Hebner Avenue. Kilka biurowców wynajmujących pomieszczenia firmom, dwa banki, a poza tym sami dentyści, kręgarze i ortopedzi. Ta dzielnica to nic wielkiego, ale, Boże, serce się łamało na widok upadającego starego kina Grand. Chodził tam na swoje ulubione filmy we wczesnych latach pięćdziesiątych: *M jak morderstwo* z Rayem Millandem, *Dzień, w którym Ziemia stanęła* z Michaelem Rennie. Ten ostatni puszczał niedawno, chciał to obejrzeć i zasnął jak kamień przed tym cholernym telewizorem. Obudził się dopiero na dźwięk hymnu narodowego, rozlał drinka na dywan i Mary poświęciła go także za to.

Ach, ten Grand – to było coś. Teraz mają te nowe kina na przedmieściach, małe budyneczki na środku kilometrowego parkingu. Cinema I, Cinema II, Cinema III, Silver Multi Platinum Screen, Cinema MCMXLVII. Zabrał Mary do takiego kina w Waterford na *Ojca chrzestnego*, zapłacił po dwa pięćdziesiąt od łebka, a w środku wyglądało to jak obleśna kręgielnia. Nie było balkonu! W Grandzie podłoga w holu była z marmuru, mieli balkon i starą, cudną, zapapraną tłuszczem maszynę do popcornu, gdzie wielka porcja kosztowała dziesięć centów. Osobnik przedzierający bilet (za sześćdziesiąt centów sztuka) był ubrany w czerwony uniform jak odźwierny w hotelu i miał co najmniej sześćset lat. Zawsze skrzypiał to samo: „Miłej zabawy szanpaństwu życzę”. A w sali wisiał kryształowy żyrandol. Nikt nie chciał pod nim siadać, bo gdyby spadł, trzeba by człowieka zeszkrobywać z podłogi. Ten Grand był...

Zerknął na zegarek, czując się jak winowajca. Minęło prawie czterdzieści minut. Chryste, niedobrze. Stracił czterdzieści minut i wcale nie myślał zbyt wiele. Tylko o parku i Grandzie.

Coś z tobą nie tak, Georgie?

Możliwe, Fred. Całkiem możliwe.

Przesunął palcami po policzku pod okiem i po wilgoci, która na nich została, poznał, że płakał.

## Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)
- [empik.com](http://empik.com)
- [bonito.pl](http://bonito.pl)
- [taniaksiążka.pl](http://taniaksiążka.pl)

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w **formie e-booków**.  
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę [wydawnictwoalbatros.com](http://wydawnictwoalbatros.com), gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).